

Pani od angielskiego – 3 uczniów, 3 historie



Nie lubiłam dzieci. Na ich płacz w autobusie reagowałam alergicznie (zresztą do dzisiaj na płacz obcych dzieci mam niską tolerancję), nie umiałam z nimi rozmawiać, nie garnęłam się do nich. Mimo to los rzucił mnie w nauczanie dziatwy, przez co długie godziny spędziłam kładąc teźe do głowy odmianę czasownika *to be* i inne zawiłości językowe. I polubiłam moich uczniów, a oni polubili mnie. Nie traktowałam ich infantylnie, miałam poważne wymagania i tak samo starałam się sprostać ich wymaganiom, do których podchodziłam nie mniej poważnie. Do dziś mam w głowie ich twarze, ich zainteresowanie i ich zaangażowanie. Niewiele jest innych rzeczy w życiu, które dały mi taką satysfakcję.

Historia pierwsza. Chłopiec F.

Mój pierwszy uczeń. Duże zaufanie ze strony mamy, która postanowiła powierzyć go niedoświadczonej studentce pierwszego roku filologii. Cztery lata spędzone na ćwiczeniu pamięci i pisania, przy jednoczesnym ćwiczeniu mojej kreatywności w wymyślaniu ćwiczeń, które byłyby interesujące dla dziecka znajdującego największą radość w kolorowaniu i w dinozaurach. Dziecka, u którego rodzice rozwijali wiele pasji, ale też poświęcali wiele uwagi szkolnej nauce i nauczyli się motywować go słowami, że jeżeli nie odrobi angielskiego, to pani Magda już więcej nie przyjdzie. Czy mogłabym usłyszeć większy komplement?

Historia druga. Chłopiec B.

Mama – późne macierzyństwo. Zapatrzona w synka. Jest czwórka? Dlaczego nie piątka? Jest piątka? Dlaczego nie szóstka? Mimo to dzieciak zachowywał stoicki wręcz spokój. Lekcje zawsze odrobione, przeważnie wszystko nauczone. Może nie najbystrzejszy, ale ciężką pracą nadrabiający inne braki. Zdolny poprzez wiele godzin spędzonych na ślęczeniu nad książkami. I mój wielki sukces. Nieświadomej realiiów matce poleciłam jedno z najlepszych gimnazjów w mieście, gdy chciała wysłać dziecko do rejonowego. Dostał się. Jeszcze przez wiele lat podczas przypadkowych spotkań za każdym razem mi za to dziękowała.

Historia trzecia. Chłopiec K.

Wolny duch, dysleksja. Wszystkie wcześniejsze doświadczenia, ćwiczenia, wymagania musiałam odłożyć w kąt, na rzecz wielu godzin przegadanych na tematy nie zawsze około-lekcyjne. Nie żałuję. Zobaczyłam jak można wychowywać i uczyć dziecko nie myśląc schematami, dając mu więcej swobody, ciesząc się z każdej trójki z kartkówki jak z wielkiego sukcesu. Przekonałam się, że szkolny system nie jest w stanie zmierzyć myślenia *out of the box*, kreatywności, pasji i zainteresowań. Nieraz w duchu wstydziłam się, kiedy mój własny uczeń polecał mi książki, filmy i muzykę, których nie znałam, a które okazywały się fantastycznie ciekawe. Dzieciak z podstawówki. Wiele mu

zawdzięczam.

Ludzie przychodzą i odchodzą. Związujemy się z nimi, przywiązujemy się do nich, tęsknimy gdy ich już nie ma. Mam nadzieję, że losy „moich” dzieci są wspaniałe. Że otworzyłam im głowy na nowe doświadczenia, pokazałam inną kulturę, obudziłam w nich ciekawość świata. Ja dzięki nim nauczyłam się bardzo wiele, pozwoliłam się wprowadzić w świat dziecięcej wyobraźni i nieszablonowego myślenia.

Chciałabym nadal uczyć. Mieć na to czas i możliwości. Niestety rzeczywistość jest tak skonstruowana, że w naszym kraju zawód ten, mimo że jest zawodem najwyższego zaufania, do którego trzeba mieć bardzo wysokie kwalifikacje i powołanie, jest jednym ze słabiej opłacanych zawodów. Ja kwalifikacje i powołanie mam, ale mam też kredyt na mieszkanie.

Dlatego w dniu naszego święta życzę wam, drodzy nauczyciele, byście pewnego dnia zaczęli zarabiać tyle, na ile naprawdę zasługujecie. By ta ciężka, katorżnicza praca, którą wkładacie w edukację przełożyła się na satysfakcję nie tylko duchową, ale i materialną. I życzę wam nieustających pokładów cierpliwości, kreatywności i pogody ducha. Trwajcie na posterunkach, bo jesteście nie do zastąpienia.

Korpomatka wraca do pracy



Na wszystko, co w życiu osiągnęłam, musiałam ciężko zapracować. Nie mam *znajomości* ani *wtyków*, tym większą miałam więc zawsze satysfakcję, gdy udawało mi się osiągnąć zamierzony cel. Lubię pracować. Zarobkowo pracuję odkąd tylko było to dla mnie możliwe, czyli od początku studiów. Jak na razie nie zrobiłam spektakularnej kariery, ale wszystko przede mną. Jednej rzeczy nie spodziewałam się, gdy zaszłam w ciążę: jak bardzo będzie mi tej pracy brakować.

Matka na macierzyńskim – daleko jeszcze?!

Pamiętacie tę scenę ze Shreka 2, kiedy osioł non stop pyta czy daleko jeszcze? Ledwo urodziłam dziecko, już chciałam wracać do pracy. Nie mogę siedzieć w domu, nie umiem, nie potrafię. Lubię się ubrać jak człowiek, umalować, wyjść, mieć kontakt z dorosłymi ludźmi, którzy mówią do mnie pełnymi słowami i zdaniami. Lubię mieć jasno wyznaczone cele, wiedzieć do czego dążę, z dnia na dzień realizować kolejne projekty. Nie ukrywam, że projekt – dziecko na początku mnie przerastał. Należę do osób, które wyznają zasadę, że im mniej czasu, tym więcej czasu. A cały czas spędzany w domu powodował, że

kompletnie go marnowałam. Tyle o mnie. Tyle w praktyce. A co w teorii?

Wrócić, tylko jak?

Aspekt tego, z kim zostawić malucha, pomijam, bo o nim pisałam ostatnio. Pytanie brzmi: co ma zrobić matka, która przed urodzeniem pierwszego dziecka miała pracę na etacie, najczęściej pracę biurową, angażującą ją również po godzinach? Z jednej strony można wykorzystać czas spędzony w domu na zdobycie nowych kwalifikacji i / lub szukanie innej pracy. Trzeba jednak pamiętać, że w naszym kraju w większości przypadków taką matkę ograniczać będą minimum dwa czynniki: jednym z nich może być trzymiesięczny okres wypowiedzenia, a drugi to, że jest matką. Co do pierwszego, nie będąc aktywną zawodowo od prawie dwóch lat ciężko się zorientować, czy nasz pracodawca byłby łaskawy skrócić nam ten okres. Często nie będzie mu to na rękę i albo będzie chciał nas przetrzymać, albo gładko zredukuje sobie etacik. Lepiej nie ryzykować. Co do drugiego, cóż, na rozmowach rekrutacyjnych trudno jest zataić fakt posiadania dziecka, zresztą na dłuższą metę jest to bez sensu. A nie da się ukryć, że małe dziecko mocno ogranicza dyspozycyjność rodzicielki poprzez choroby i innego rodzaju wyzwania logistyczne typu przedstawienie w przedszkolu, które ani chybi ograniczą zaangażowanie takiej rodzicielki w sprawy zawodowe. *Life is brutal*. W takiej sytuacji, mimo najszczerzych chęci, rodzicielka zmuszona jest albo pójść na bezpłatny urlop wychowawczy (brrrr), zaryzykować założenie własnego biznesu (tu przewagę mają posiadaczki bogatych mężów i nie-posiadaczki kredytów na mieszkanie) lub wrócić do pracy, najczęściej na siedem ósmym etatu, bo to w jakiś sposób ochroni ją na najbliższy rok. I to w gładki sposób przenosi nas do ostatniego dylematu.

Wracam. Jezus Maria, co to będzie?!

Nie ma złudzeń, przy dzisiejszych rocznych urlopach macierzyńskich, z których większość z nas korzysta, bo nie ma innego wyboru, plus to, co przesiedziałyśmy w domu pod koniec ciąży, zaległy urlop i inne ewentualne opcje wydłużenia tego okresu do momentu, dajmy na to, oddania dziecka do żłobka,

czas nieobecności w pracy spowodowanej narodzinami potomka potrafi wynieść w optymistycznej wersji niecałe dwa lata. W tym czasie w firmie, szczególnie dużej firmie, może wydarzyć się wszystko. Mogą wymienić się przełożeni, najbliżsi współpracownicy, może się zmienić struktura firmy, mogą zlikwidować Twój dział. Jaki masz wybór? Możesz wrócić i przekonać się jak będzie. Jeśli do tej pory nie udało Ci się zmienić pracy, nie masz nic do stracenia. A może będzie dobrze? Może, jeżeli zmiany faktycznie miały miejsce, będą to zmiany na lepsze? Może nowy szef będzie miał ludzkie oblicze? Jedno jest pewne. Cokolwiek by się nie wydarzyło, nie ma się co oszukiwać: zarówno wracająca do pracy matka, jak i rozpoczynająca nową pracę matka, obie te kobiety będą od nowa musiały udowodnić kim są, co potrafią, na co je stać. Jaką mają przewagę w porównaniu do kobiet bezdzietnych? Ogarniają. Nauczyły się perfekcyjnej organizacji czasu, godzenia ze sobą tysiąca obowiązków przy zaledwie kilku godzinach snu. Mają też motywację, większą niż wcześniej i większą niż pozostali, bo wiedzą, że są pod szczególną obserwacją. Ale ja w nie wierzę. Wierzę w nas – korpo-matki, matki-supermenki, matki-przodowniczki pracy. Bo kto jak nie my? No w każdym razie ja zamierzam.



Niania czy żłobek?



Niania czy żłobek? Co będzie lepsze dla mojego dziecka? Zadawałam sobie to pytanie tak samo, jak wielu rodziców przede mną i po mnie. Dziś opowiem o wszystkich za i przeciw, które rozważałam podejmując decyzję o wyborze niani lub żłobka.

Przeczytaj również: Jak szybko i naturalnie nauczyć dziecko języka obcego? (i jak szukać dwujęzycznej niani w Warszawie)

Kiedy rejestrowałam Ignasia do żłobka, Ghostwriting Agentur daleka byłam od myśli, że opcja ta w ogóle będzie możliwa do zrealizowania. Po pierwsze dlatego, że do tej pory z opowieści znajomych słyszałam, że pierwsze dziecko i żłobek państwowy nie idą w parze, a po drugie byłabym hipokrytką, gdybym wolała niewygodę codziennego zawożenia i odbierania dziecka z miejsca, gdzie nikt nie poświęci mu 100% swojej uwagi od wygody i luksusu związanego z zatrudnieniem niani. Pytanie niania czy żłobek bardzo długo krążyło mi po głowie i do samego końca bardzo ciężko było mi podjąć decyzję.

Co więc przemówiło za wyborem żłobka?

1. Cena

Żyjemy w kraju, gdzie żeby mieszkać na swoim trzeba albo dostać to swoje od rodziców lub dziadków, albo wziąć na nie kredyt, najlepiej taki na trzydzieści lat. My z mężem jesteśmy w tej drugiej grupie, a dodatkowo mieszkamy w Warszawie, gdzie mieszkania są drogie, tak samo jak i godzinowe stawki opiekunek. W naszej sytuacji mieć tysiąc złotych, a go nie mieć (bo taka jest minimalna miesięczna różnica między nianią a żłobkiem państwowym) to jednak prosty wybór.

2. Rozwój społeczny dziecka

Nie od dzisiaj wiadomo, że dziecko wśród innych dzieci szybciej zdobywa nowe umiejętności poprzez obserwację. Jednocześnie nie da się zastąpić maluchowi w inny sposób tak długiego przebywania wśród rówieśników, *człowieków* tych samych rozmiarów, co on, na tym samym lub zbliżonym etapie rozwoju. A już zupełnie fantastyczne jest to, że w żłobku są inne zabawki niż w domu, że panie, dzięki wieloletniemu doświadczeniu, potrafią rewelacyjnie zająć uwagę dzieci oraz że dzięki temu maluchy się nie nudzą. Moje dziecko zupełnie inaczej zachowuje się, kiedy zmęczone wrażeniami całego dnia spędza z nami tylko wieczór – jest wtedy spokojne, posiedzi, poleży, poprzytula się do nas. Kiedy natomiast musi spędzić w domu cały dzień, ewidentnie widać, że się nudzi i że go nosi. Wybieram bramkę numer jeden!

3. Zdrowie dziecka

Tak, tak, wbrew pozorom chorowanie wcale nie jest takie złe. I czy na wczesnym, czy na późniejszym etapie zawsze nas dopadnie. Dziecko musi odchorować swoje żeby wyrobić odporność

i nie ma na to rady. A jeżeli już na etapie żłobka przejdzie tego sporo, to możemy liczyć na to, że w przedszkolu będziemy wśród szczęśliwców, którzy na zwolnienia na dziecko chodzą trochę rzadziej niż pozostali. Ale tylko możemy liczyć.

Dlaczego niania też byłaby fajna?

1. Zdrowie dziecka

Nie pomyliłam się wpisując drugi raz ten sam podpunkt. Owszem, zdobywanie odporności to jedno, ale ostatecznie który rodzic lubi kiedy jego dziecko choruje? Raczej żaden. Któremu pracodawcy odpowiada sytuacja, w której jego pracownik idzie na zwolnienie minimum raz w miesiącu? No właśnie. A już po powrocie z urlopu macierzyńskiego w szczególności. A tak można bez stresu znów udowodnić, że się jest wartościowym pracownikiem i kiedy przyjdzie moment chorób przedszkolnych, być może zostaną one potraktowane z większą wyrozumiałością. Być może.

2. Indywidualne podejście

Co tu kryć, żadna, nawet najwspanialsza ciocia w żłobku nie poświęci żadnemu dziecku stu procent swojego czasu. Weźmie na ręce, przytuli kiedy trzeba, ale przez pozostałą część czasu będzie musiała ogarniać pozostałą część wesołej gromadki. Niania natomiast będzie cała dla jednego dziecka, czuwając nad nim, pilnując, dostosowując się do rytmu dnia, który narzuca dziecko, a nie zewnętrzny system. Ten aspekt na pewno docenią rodzice, którym zależy na tym, aby ich maluch żył w harmonii ze swoimi potrzebami.

3. Domowe środowisko

Tutaj wypływa nam na wierzch kwestia stresu. I nie ulega wątpliwości, że przedstawiając naszemu brzdącowi obcą osobę, jaką owa niania dla niego bezsprzecznie jest, narażamy go na

dużo mniejszy stres niż zaprowadzając go w miejsce, w którym nie dość, że obcych pań jest więcej i często zmieniają się między grupami, to jeszcze samo otoczenie jest nieznajome. Taka adaptacja na pewno przebiega trudniej i wystawia naszego niemowlaka na dużo większe zdenerwowanie.

Jakie możesz mieć dylematy?

Czy to nie za wcześnie?

Bez względu na to, czy zdecydujesz się na żłobek, czy na nianię, zawsze będziesz się zastanawiać czy to nie za wcześnie, że może jednak jeszcze trochę sama posiedzisz z dzieckiem, może jeszcze pół roku, może jeszcze rok. Według moich obserwacji trzeba takie wątpliwości odłożyć na bok. Im wcześniej, tym lepiej, a jeżeli chodzi o żłobek, paradoksalnie dziecko poniżej pierwszego roku życia często nawet nie załapie, że mamusia znikła, a potem będzie już tak przyzwyczajone, że stanie się to dla niego niejako naturalne. To na pewno dobry aspekt szybkiej decyzji.

Obca osoba w domu

Decydując się na nianię wpuszczamy do domu obcą osobę. Nawet jeżeli jest nam przez kogoś polecona, my sami nie znamy jej jeszcze osobiście i nie wiemy czy jej przyzwyczajenia i metody będą nam konkretnie odpowiadać. W kwestii zaufania na pewno warto zrobić sobie i zachować kopię dowodu osobistego takiej osoby. Druga sprawa to podpisanie umowy, do której wpisujemy wszystkie drażliwe kwestie, na których nam zależy. Zawsze to jakiś papier podpisany przez obie strony i jakiś punkt odniesienia.

Pozostaje jeszcze kwestia żłobków prywatnych i babć. Babcie są super, to nie ulega wątpliwości. Nikt nie zaopiekuje się dzieckiem tak, jak własna babcia, to ona da mu najlepsze

jedzenie i najlepsza opiekę, bo we wszystko włożył sto procent serca. U nas niestety obie babcie są aktywne zawodowo i tylko jedna może czasem odebrać Ignasia ze żłobka wcześniej. To już coś.

Co do żłobków prywatnych, niestety krąży wokół nich cała masa historii pokazywanych raz na jakiś czas w telewizji i nie mam o nich dobrego zdania. Nie wiem jak w innych miastach, ale w Warszawie są one niewiele tańsze niż niania na pełnym etacie i gdybym musiała podjąć decyzję między jednym a drugim, to raczej zdecydowałabym się na nianię.

Miało być krótko i zwięźle, wyszedł mi elaborat. Mam nadzieję, że dobrnęliście do końca i czytacie te słowa, bo to być może oznacza, że pomogłam Wam w podjęciu decyzji. Jeżeli tak się stało – dajcie znać, jaki jest wasz wybór: niania czy żłobek?

Wymówka? Jaka wymówka?!



Lubiłam być panią samej siebie. W czasach sprzed dziecka robiłam co chciałam, chodziłam gdzie

chciałam. Nie chciałam – nie robiłam, proste. Życie było takie nieskomplikowane! Potrafiłam sobie znaleźć tysiąc wymówek, a każda tak samo dobra, żeby po prostu poleżeć. Co masz zrobić jutro, zrób pojutrze, będziesz mieć dwa dni wolnego – z takiego wychodziłam założenia. Dziś śmieję się z wymówek, które zapewniały mi spokój. Nawet nie wiem, w którym momencie przestały istnieć!

1. Boli mnie głowa

Przyznam się szczerze, że od tego właśnie wziął się pomysł na dzisiejszy temat. Dając synkowi wieczorem kolację nagle zorientowałam się, że dopadł mnie ból głowy. Kiedyś rzuciłabym wszystko w kąt, poszła po tabletkę i zakopała się pod kocem. Dziś nawet nie wiem czy jakieś tabletki w domu w ogóle są, bo po ciąży jakoś weszło mi w nawyk, że czekam aż samo przejdzie, a poza tym nie mam czasu tego roztrząsać. Samo przyszło, samo pójdzie.

2. Jestem zmęczona

Jak już kiedyś pisałam, dawne zmęczenie to dzisiaj szczyt stanu, który nazywam byciem wypoczętą. Już nawet pomijam fakt, że przespanie całej nocy ciurkiem stało się szczytem marzeń. Jesteś zmęczona?! Zapomnij! Wróciłaś po pracy, nakarm męża, dziecko, siebie (kolejność nieprzypadkowa), pobaw się, wykup małego, połóż go spać, wstaw pranie, ogarnij dom, uf, może w końcu usiądź? A tak, za mało mam, to sobie bloga dołożyłam. Kto bogatemu zabroni!

3. Jestem chora

Widzieliście tę reklamę? Mamy nie biorą zwolnienia. Kiedyś nie zwróciłabym na nią uwagi, dziś przemawia do mnie jak mało która. Gorączka, nie gorączka, katar, nie katar, zasuwam z

butlą w nocy, wstaję o świcie, kładę się po 23:00. Nie mam czasu chorować, nie mogę sobie na to pozwolić. To nawet nie jest kwestia wyboru, tylko brutalna prawda.

4. Nie chce mi się

Takie zdanie mogę sobie wypowiadać na głos w kategorii pobożnych życzeń. Mogę powiedzieć, że mi się nie chce, ale potem i tak muszę wstać i to zrobić, bo jak nie sprzątnę, to moje dziecko sprzątnie to za mnie. Buzią. Jak nie wypiorę, to nie będzie miał w czym chodzić. Jak nie ugotuję, to nie będzie miał co jeść. Mi się może nie chceć dla siebie. Dla niego nie ma takiej opcji! Rachunek jest prosty.

5. Nie mam czasu

Czas musi się znaleźć na wszystko. Na sprawy i potrzeby mojego dziecka czas muszę mieć zawsze. Owszem, mogę go czasem nie mieć – na to, żeby zjeść (śniadanie o 14:00 – brzmi znajomo?), żeby pójść do toalety, czy żeby rozczesać włosy (fryzura a la gniazdo zawsze w modzie!). Ale i na to prędzej czy później gdzieś go wygospodaruję, bo okazuje się, że jak chcę, to potrafię. I nie ma że boli.

Tak łatwo było kiedyś znaleźć wymówki. Dziś nawet ich już nie szukam, bo nie ma to sensu. Za to kiedy zdarzy się, że, całkiem od niedawna, przez chwilę leżymy wszyscy we trójkę na kanapie, to taka chwila jest na wagę złota. Na nowo doceniam i odkrywam to, co kiedyś było mi dane ot tak. Na nowo odkrywam uroki życia. A kto mnie tego uczy? Pan nauczyciel, osiemdziesiąt parę centymetrów wzrostu!

Podoba Ci się to, co napisałam? Daj mi koniecznie znać! Możesz to zrobić na kilka sposobów:

- Polub mój Fanpage na Facebooku **KLIK**
- Polub ten konkretny wpis lub udostępnij go klikając na ikonkę Facebooka poniżej
- Napisz mi ciekawy komentarz pod wpisem tutaj lub na Facebooku

Będę

Ci wdzięczna za każdy taki gest, bo dzięki niemu będę

wiedziała, że moi
czytelnicy gdzieś tam są, czytają i podoba im się to, co
piszę.
Dziękuję!!!

Baby Jogger City Mini GT – recenzja spacerówki doskonałej



Każdy rodzic – debiutant popełnia ten sam błąd. Kiedy słodki dzidzius mieszka sobie jeszcze w brzuszku u mamusi, w błogiej nieświadomości całego zamieszania, które wywołał gdzieś tam w odległym i nieznanym świecie zewnętrznym, jego rodzice

właśnie szykują mu wyprawkę idealną. Wyprawkę wypasioną. Kupują wszystko, co według nich najlepsze, w tym mega-giga-super wóziór 3 w 1, bo ma mieć wszystko, już, od razu. I na początku jest fajnie, bo gondola rewelacyjna, można też wpiąć fotelik, jesteśmy zachwyceni. Ale potem okazuje się, że ta spacerówka to jednak zbyt kobyłasta, niby fajne ma kółka i jest solidna, ale waży jakieś pięćset kilo i zajmuje trzy czwarte bagażnika.

Właśnie wtedy rodzic – debiutant zaczyna żałować, że nie posłuchał podpowiedzi innych doświadczonych rodziców i nie kupił gondoli i fotelika, a spacerówki dużo później i oddzielnie. Dlatego kupuje następną.

Nie bierzcie sobie za bardzo do serca wstępu, bo to oczywiście moja prywatna historia. No chyba, że się poczuwacie, wtedy czujcie się jak u siebie. Tak czy inaczej, błędy, które popełniliśmy w tej kwestii, pozwalają mi dziś napisać recenzję mojej ukochanej spacerówki – **Baby Jogger City Mini GT**.

Za co ją kocham?

1. Za kółka

Jako jedna z nielicznych spacerówek typu, powiedzmy, (duża) parasolka ma kółka terenowe. Nie są one pompowane, ale wykonane są z gumy i mają wystarczające bieżniki, żeby spokojnie jechać tym wózkiem przez las czy piaszczystą lub nierówną drogą. Kółka są trzy, przednie oczywiście jest skrętne, a wózek jest bardzo stabilny.

2. Za wagę

Wózek jest lekki, łapię go i przenoszę bez problemu, zdarzyło mi się nawet chwycić go razem z synkiem w środku żeby wynieść go z autobusu. Żaden problem!

3. Za składanie

Ten sposób składania wymyślił jakiś geniusz. Jeden prosty uchwyt, za który łapiesz i wózek składa się na pół, na płasko. Dodatkowo można wyjąć wszystkie (trzy) kółka, żeby zajmował jeszcze mniej miejsca. Bosko!

4. Za duży kosz na zakupy

Można w nim zmieścić naprawdę sporo, dostęp też nie jest utrudniony, można do niego wrzucać rzeczy zarówno z tyłu, jak i z boku.

5. Za głęboką budkę

Budka jest tak naprawdę dwustopniowa. Może być i dość płytka, i bardzo głęboka. Kiedy dziecko zaśnie, można je w 100% osłonić od słońca. Dodatkowo budka posiada dwa odsłaniane plastikowe okienka, więc zależnie od stopnia jej zasunięcia zawsze można sobie do malucha zajrzeć.

6. Za plecy rozkładane na płasko

Mój synek coraz rzadziej już zasypia w wózku, ale kiedyś robił to na każdym spacerze. W takiej sytuacji ta opcja jest niezastąpiona, bo dzięki niej maluch kima sobie komfortowo. To lubię. Co również dość ważne – rozkładanie jest bardzo proste. Jedno pociągnięcie za pasek i *voilà*. Gotowe.

7. Za regulowaną rączkę

Między mną a moim mężem jest ponad dwadzieścia centymetrów różnicy wzrostu. Każde z nas lubi prowadzić wózek nie garbiąc się zanadto, ani nie idąc na palcach. Dzięki tej rączce tata Ignasia nie musi wyglądać jak Guliwer, a ja jak Mała Mi. Dla każdego coś miłego.

8. Za hamulec ręczny

Kto nie wie, jaki opór potrafi stawiać hamulec nożny do tego stopnia, że trzeba się do niego schylać żeby odblokować go

ręką, bo inaczej niszczy się buty, ten nie zrozumie. Dla mnie hamulec ręczny to zbawienie i niesamowita wygoda.



Za co jej nie kocham?

Tytuł jest przewrotny, bo nie istnieje wózek idealny, a tym bardziej spacerówka, której głównym celem jest być lekką i zajmować mało miejsca. Nie będę więc bezkrytyczną hipokrytką.

1. Za podbijanie

Jest zerowe, serio. Dużo ćwiczeń i praktyki kosztowała mnie nauka sprawnego wsiadania i wysiadania z tym wózkiem do autobusów. Teraz już nabyłam tę wiedzę, ale na początku musiałam się salwować wspomnianym już wcześniej podnoszeniem całości razem z Ignąskiem w środku. Niefajne.

2. Za brak możliwości przywiązania uniwersalnej wkładki

Mam wkładkę La Millou, którą stosowałam w Tako. Kiedy chciałam ją przełożyć do BJ okazało się, że u góry oparcia nie ma żadnych dziurek, przez które mogłabym przełożyć troczki. Rozczarowałam się!

3. Za materiał

Nie bez powodu chciałam do tego wózka włożyć wkładkę. Materiał jest dość śliski, więc moje dziecko trochę się ślizga i zsuwa siedząc w wózku. Najczęściej więc siedzi w nim na tak zwanym wywaleniu. Niezbyt elegancko.

Więcej grzechów nie pamiętam. Lubię ten wózek, bo jest wygodny, lekki i bezpretensjonalny. Nie wyróżnia się szczególnie swoim wyglądem, ale nie musi. Jak dla mnie ma tyle zalet, że pięknym wnętrzem nadrabia prostotę dizajnu. Inna sprawa, że od dłuższego czasu mój pierworodny, kochający niegdyś jazdę wózkiem, przeciwko temuż wózkowi się aktualnie buntuje i chce być noszony lub poruszać się na własnych nogach. Jak mu wytłumaczyć, że na to będzie miał jeszcze całe życie, a mamusia oddałaby teraz wszystko, żeby ją ktoś czasem

w takim fantastycznym wózekku przewiózł? Ech, dzieci...



Córeczko, chciałabym żebyś była chłopcem



Chciałam mieć córeczkę. Marzyłam o wiązaniu kitek, ubieraniu w sukieneczki, spódniczki i opaski. Wiedziałam, że dziewczynkę będzie mi łatwiej zrozumieć, bo sama jestem kobietą i powielenie wzorców z wychowania moich rodziców przyszłoby mi

niejako naturalnie. Kiedy więc mój mąż obalał wino, bo potomek okazał się być płci męskiej, ja po cichu godziłam się z tą myślą i uczyłam się myśleć o moim dziecku jak o synku. Nie zajęło mi to krótkiej chwili. Nie zajęło mi to nawet dłuższej chwili. Proces akceptacji trwał tak naprawdę do końca ciąży.

Marzenie o dziewczynce zachowywałam dla siebie, starałam się nie ujawniać go nikomu. Kiedy różni członkowie rodziny na głos obwieszczali swoje preferencje, ja ze spokojem odpowiadałam, że na to jedno na szczęście wpływu nie mam i że cieszyć będziemy się wszyscy bez względu na płeć. PRAWDA?!

Miałam dużo szczęścia, bo zanim mój synek przyszedł na świat, kolejne etapy przygotowywania wyprawki pomogły mi przywyknąć do tej myśli. Dziś jednak zastanawiam się jak mógłby wyglądać gorszy scenariusz. Z braku akceptacji płci mojego dziecka mogłabym wpaść w poważną depresję poporodową. Mogłabym, będąc wciąż w szoku, odrzucić je i wciąż nie akceptować zastanej rzeczywistości. I w końcu, mogłabym w tej rozpaczach skłonić się ku aborcji. Czy miałoby to sens? Nie mnie oceniać matki, które podejmują taką decyzję. Kiedyś uważałam, że tylko do matki należy decyzja o prawie do życia dziecka, które w sobie nosi. Dziś już boję się myśleć co by było, gdybym sama musiała stanąć przed takim dylematem.

Idąc tym tropem dalej myślę o konsekwencjach takiego braku akceptacji u samego dziecka. Zastanawiam się czy możliwa jest sytuacja, w której matka (lub ojciec, bo w sumie czemu nie) tak bardzo podświadomie pragnie dziecka odmiennej płci, że jako takie traktuje własne dziecko. Syna – jak córkę, córkę – jak syna. Czy taki maluch w przyszłości nie będzie akceptował własnej płci? Czy *gender disappointment* (bo zjawisko rozczarowania płcią dziecka dorobiło się już na zachodzie swojej własnej nazwy) może być tak silne, że przeniesie się z rodzica na potomstwo? Jestem w stanie wyobrazić sobie taką

sytuację. Można by powiedzieć – fanaberia. Ludzie dookoła mają chore dzieci, modlą się o ich zdrowie, życie, a tu tylko taka mała błahostka? Doprawdy. Ale spójrzmy na to z innej perspektywy. Przecież są rodzice, którzy mają dwójkę, trójkę, czwórkę dzieci tej samej płci. Czy oni nie mają prawa marzyć o jeszcze tym jednym, jedynym, innym niż pozostałe? Ja sama już teraz mówię sobie, że po tym moim małym siejącym chaos i zniszczenie rozbójniku jak psu buda należy mi się grzeczna i ułożona córeczka. Mówię to pół żartem, pół serio, ale w głębi mojej duszy gdzieś wciąż tli się to niespełnione marzenie.

Kiedy będąc w ciąży jeszcze pracowałam, a kolega z pracy zapytał mnie, czy będzie chłopiec czy dziewczynka, z przymrużeniem oka odpowiedziałam mu, że „chłopiec, ale jak będzie dziewczynka to też wychowam jak swoje”. W odpowiedzi usłyszałam historię jego koleżanki, która przez całą ciążę słyszała od lekarzy, że będzie synek, a urodziła się córeczka. Kobieta przypłaciła tę pomyłkę totalnym odrzuceniem dziecka i miesiącami leczenia psychiatrycznego. Wydaje mi się, że był to dość skrajny przypadek, ale skłania mnie on do refleksji czy być może nie lepiej byłoby, jak to już kiedyś bywało, nie poznać tej nieszczęsnej płci aż do samego rozwiązania. I spokoju więcej, i mniej presji ze strony otoczenia.

Co w takiej sytuacji ma robić partner? Jeśli tylko nie jest skurczybykiem bez serca, nie ma wyboru – musi dać czas i wsparcie, a także wierzyć, że miłość przyjdzie i tak. U mnie przyszła od razu, bezwarunkowo, nie wyobrażam sobie teraz mieć zamiast Ignasia córeczki. Jest tak cudny, mądry i wspaniały, że żadna dziewczynka nie zastąpiłaby mi wszystkich jego zalet i całej tej jego *chłopięcości*. Uwielbiam go ubierać w urocze ubranka małego elegancika, kocham patrzeć jak bawi się samochodami i robi brrrrrum mimo że nikt go tego nie nauczył, i jak z gigantyczną ciekawością zagląda tacie do wszystkich typowo męskich robót z dziedziny majsterkowania. Nie wyobrażam sobie mojego świata w innej opcji.

Ale wiem też, że nadal mam prawo marzyć. I tego prawa nikt mi

nie odbierze.

